

"DIABŁA ZASTĘPUJE BELZEBUB"

ROSJANIE OPUSZCZAJĄ BUSK, NIEMCY WKACZAJĄ DO MIASTA

Był już zapewne ósmy lub dziesiąty dzień wojny, a więc między 1 - 3 lipca 1941 roku. Asfaltową szosą, wiodącą ze Lwowa w kierunku Brodów, Równego i dalej - Kijowa, przedzierały się samochody ciężarowe marki ZIS-5 /Zawod Imeny Stalina/, na których wśród różnego rodzaju mebli, pościeli, instrumentów muzycznych w postaci pianin i fortepianów oraz różnych innych domowego wyposażenia drobiazgów siedziały niewiasty z przytulonymi do siebie dziećmi. Były to rodziny oficerów armii sowieckiej, dopiero co osiedlone na tych terenach południowo-wschodniej Polski, które weszły w posiadanie Sowietów na mocy paktu Ribentrop - Mołotow. Były to też rodziny oficerów NKWD /Narodnyj Komitet Wnutriennych Dieł - policja sowiecka/. Zarówno pierwsi, jak i drudzy od 1939 roku nabywali tutaj mieszkania, meble, wszelaki sprzęt domowy, a więc wszystko to, co było przedmiotem tak pospiesznego teraz wywożenia, a co było wcześniej zdobyte przez nich w sekwencji wymordowania lub wywiezienia na Sybir ich onegdajszymi właścicielami - Polaków. Chroniąc pieczołowicie zdobyczą, robili wszystko, aby ewakuacja odbywała się sprawnie i szybko, gdyż Niemcy nacierali coraz mocniej.

W celu wywózki byłego majątku polskiego w głąb sowieckiego kraju, zaangażowano po wybuchu wojny z Niemcami - jak było to teraz widać - wiele środków transportowych, szczególnie w postaci owych ZIS-5. Były to samochody ciężarowe, zawsze odkryte, bez plandek. Zakaz stosowania na samochodach ciężarowych plandek lub innych przykryć wprowadzony został w całym Związku sowieckim. Jego autorem był NKWD. W ten sposób miał on ułatwioną kontrolę przewozów, szczególnie ludzi, którym bez odpowiedniego zezwolenia /przepustki policyjnej/ nie wolno było choćby odwiedzać znajomych lub krewnych w dalej położonych wioskach czy miasteczkach.

Mieszkańcy Buska narodowości polskiej i ruskiej /Rusini znacznie później przekształcili się na Ukraińców/ z radością i zarazem z niecierpliwieniem oczekiwali na przybycie Niemców. Na razie nie mogli się ich doczekać. Nie było nawet słychać strażaków artyleryjskich, które najczęściej w takich sytuacjach zwiastują zbliżający się front.

Wyszedłem na rynek miasteczka i z satysfakcją przyglądałem się opuszczającym nasze tereny znienawidzonym za aresztowania, wywózki i morderstwa "oswobodzicielom sowieckim" i ich rodzinom.

W pewnym momencie zjawił się przy mnie mój niedaleki sąsiad, Gienek Kapij, Pół-rusin, bo z ojca Rusina i Pół-polak, bo z matki Polki. Wycedził cichuteńko, że coś się dzieje w sądzie, dokąd wielu ludzi się udaje. Zaproponował, bym mu towarzyszył, gdyż ma zamiar i on się tam znaleźć. Za parę minut byliśmy przy budynku sądowym. Wejście do wewnątrz było nie od ulicy, lecz od podwórza. Już jednak na ulicy spostrzegliśmy wiele osób ocierających z oczu łzy, przygarbionych pod ciężarem jakiegoś okropnego zdarzenia. Weszliśmy razem z innymi do środka. Z piwnicy wynoszono ciała dopiero co pomordowanych przez NKWD. Układano je w jednej z sal, do której drzwi, na wprost korytarza, stały otworem.

Na tej właśnie sali rozpoznałem trupa zamordowanego Rusina, znanego ziemianina z dzielnicy Krótka Strona, o nazwisku Wanio. Był człowiekiem już zapewne po sześćdziesiątce. Nie opodal leżał trup lekarza Wanio, mieszkańca domu usytuowanego w bezpośrednim sąsiedztwie mostu na rzece Słotwina. Jak się później dowiedziałem, zaledwie parę dni wcześniej został aresztowany, a mówił mi o tym Franek Biskup /lwowianin, zamieszkały przy ulicy Wołoskiej w Busku, późniejszy adwokat w Rzeszowie/, który był świadkiem aresztowania. Widziałem jeszcze trupa Longina Niemiecza, nauczyciela, chorążego wojsk polskich, opiekuna Orłąt Lwowskich w Busku. Każdy z trupów przedstawiał okropny wygląd. Twarze ich były zdeformowane, opuchnięte i mocno skrwawione. Ciała pomordowanych były okryte zaledwie resztkami nieokreślonego pochodzenia łachmanów. Na przykład

doktor Wanio podczas aresztowania - jak opowiadał Biskup, świadek aresztowania - ubrany był w elegancki garnitur, obecnie natomiast jego ciało pokryte było zaledwie fragmentami jakiejś odzieży. Do piersi były przyklejone krwią jakieś kawałki koszuli, nieco niżej spodnie, a raczej dwie nagawki, z których jedna kryła mu udo, zaś druga sięgała nieco poniżej kolana. Można się było łatwo domyśleć, że aresztowani przed uśmierceniem zostali obdarci z odzieży, którą wcześniej posiadali. Ich odzież - jak się można było domyślać - została zapakowana do walizek i odjechała na ZIS-5 wraz z innymi zrabowanymi rzeczami ... do ojczyztego kraju sprawców mordu.

Niemeczek miał mocno zaciśnięte dłonie, a ręce jego odchylone były od korpusu ciała, wyciągnięte ku przodowi. W takiej pozycji zawieszony był na kratkach okiennych piwnicy, co potwierdzało, że po strzałach i wtrąceniu do dołu odżył, uzyskał przytomność, lecz zdążył jedynie doczołgać się do krat, chwycić je, by znieruchomieć na zawsze.

Łącznie ponad dwadzieścia, czy trzydzieści trupów dawało świadectwo tej okrutnej zbrodni dokonanej przez NKWD na ludności polskiej i ruskiej. Dwa trupy - jak opowiadano - oprawcy wrzucili do kloaczego dołu, usytuowanego opodal budynku od strony sadu Tokarzewskich, a stanowiącego zbiornik umiejscowionych tam szale. Nie sprawdzałem tego. Pamiętam jednak, że widziałem na ścianach sal sądowych krew. Skąd ona się tam wzięła - nie wiem. W salach nie byli roztrzelani więźniowie, bo byłyby na nich odpryski od kul. Mogli być tam jedynie katowani przed roztrzelaniem. Może właśnie chodziło, by się w salach tych przebierali w owe łachmany, które potem znalazły się na ich już nieruchomych ciałach. Może dobrowolnie nie chcieli się przebierać. Krew na wysokości do półtora metra przyklejona była do ścian sal sądowych w ilościach dość sporych.

Technika roztrzelania była dość prosta. Z więzienia, dysponującego bardzo wąskimi celami z dwoma drewnianymi pryzkami i przejściem na jakie 50 cm szerokim, które stało obok budynku sądowego, wyprowadzano kolejno więźniów. Prowadzono ich do budynku sądowego pojedynczo ścieżką, wyłożoną płytkami kamiennymi. Przed wejściem do tego budynku stały dwa motocykle, popularnie zwane "pyrkawkami" /o pojemności 90 - 120 cm<sup>3</sup>/. One to w czasie roztrzelania zostały uruchomione, aby tworzyć hałas i w ten sposób zagłuszać strzały. Skazańców wprowadzano do korytarza /może też wpierw do sal sądowych celem przebrania się .../, gdzie były otwarte drzwi do piwnicy. Naprzeciw tych drzwi stał oprawca, który strzelał w głowę skazańca i butem wtrącał w dół. W piwnicy prawdopodobnie znajdował się następny kat, którego zadaniem było /przynajmniej w początkowej fazie roztrzelania/ dobijanie tych, którzy dawali oznaki życia i ... odciąganie trupów w głąb piwnicy za pomocą haka, zwanego gracą, aby nie tworzyć zatoru i robić miejsce następnym.

Mając dość nieprzyjemnych wrażeń, postanowiłem wraz z wspomnianym Gienkiem Kapijem uciekać do domu. Ponieważ baliśmy się wracać przez rynek, wybraliśmy drogę przez sąd Tokarzewskich w kierunku Pełtwi, by dalej przez park i łąkę dotrzeć do domu. Przez sąd biegliśmy. W pewnym momencie usłyszeliśmy bzykanie kul, a potem zaraz strzały. Były one oddane w naszym kierunku gdzieś z okolic przeciwległej granicy sadu. Udało nam się jednak bez uszczerbku dotrzeć do szosy tuż przy moście na Pełtwi. Tu nas przytrzymała jadąca kolumna samochodów, tych samych z uciekinierami na wschód, znowu z meblami i betami, kobietami i dziećmi, z rzadka z enkawudzistami i żołnierzami.

Doczekaliśmy się jednak przerwy w tym tasiemcowym transporcie, a wykorzystując ją, szybko przeskoczyliśmy przez szosę i wbiegli do parku. Park był całkowicie wyludniony. Domyślałem więc z satysfakcją, że nastąpiła chwila, w której nie znaleźli się tutaj prześladowcy korzystający tak często ze spacerów, wysiadania na ławeczkach, grających na garmoszkach lub zamyślonych nad szachownicami. Nie było też Żydów, dla których park /własność hrabiego Badeniego/ od 1939 roku stanowił ulubione korso.

Aby nieco odpocząć i ochłoniąć z doznanych wrażeń, usiedliśmy na schodach wybudowanego tutaj przez okupacyjne władze sowieckie podium, służącego do wygłaszania przemówień polityczno propagandowych, stanowiącego miejsce dla przygrywającej orkiestry. Z tego miejsca sporo razy brzmiały zaprzeczające rzeczywistości słowa o dobrobycie w Kraju Socjalistycznym, o sprawiedliwości, wolności, słowem raj na Ziemi, którego nigdzie indziej nie ma, a nade wszystko słowa o niezwyciężonej bohaterskiej Armii Czerwonej. Mówcy jakby nie wiedzieli o tysiącach łagrów, więzień, w których z głodu i wyciężenia ginęły miliony, oraz o niedawnej klęsce politycznej i militarnej doznanej przez tą "niezwyciężoną" w walkach z Finami. "wszystko to niczym taśma filmowa przesuwano się w moich myślach. Nie chciało się wierzyć, że przeszło to już do historii.

Jakiegoż ogromnego zdziwienia doznałem po następnych dwóch dniach, kiedy idąc przez rynek zobaczyłem enkawudzistę ... - tego, który z całą pewnością brał udział w roztrzelaniu w sądzie. Znałem go z widzenia. Był - o ile sobie przypominam - szatynem o krępej budowie ciała, średniego wzrostu, w czapie z niebieską otoką, spod której wystawał snop włosów, ubrany w granatowy mundur, u boku którego wisiała kabura z naganem. Wydało mi się, że spojrzał na mnie i wówczas dreszcz, niczym piorun, przeszył moje ciało. Wygląd jego nie budził znaków "inności". Był podobny do człowieka, chociaż w sercu miał szatana, a może cały był diabłem. Okazało się, że enkawudziści zostali z drogi ucieczki zawróceni do Buska. Zwerbowali kobiety, by jako tako uporządkować pomieszczenia sądowe i więzienne, by zatrzeć ślady dokonanego morderstwa i po raz kolejny uśmiercać następnych "wrogów komunizmu" zadenuncjowanych przez współpracujących z NKWD. Znowu więc aresztowanych zostało wiele osób. Znowu aresztowania zakończone zostały analogiczną jak wcześniej egzekucją. Tym razem nie byłem na miejscu zbrodni.

Zbliżał się jednak koniec okupacji sowieckiej, przebijająca nadzieja, którą niosły echa armatnich strzałów gdzieś z kierunku Kamionki Strumiłowej. Zbliżali się Niemcy.

Kiedy obudziłem się rano, rodzice opowiadali, że nocą naszą ulicą, Wołoską, przemieszczały się wojskowe samochody sowieckie z żołnierzami na burtach. Łatwo można było to potwierdzić na podstawie wyciśniętych w ziemi pobocza ulicy śladów po oponach samochodowych. Skoro jednak przejazd ten miał miejsce przez ulicę Wołoską, oznaczało to, że czerwonoarmiści wycofywali się na wschód od Kamionki Strumiłowej.

Jak się potem dowiedzieliśmy, wycofujący się Rosjanie przy folwarku w Tadaniach /wioska na trasie Kamionka - Busk/skryli się między konarami rosnących tam gęsto wierzb, a kiedy Niemcy wjechali na podwórze folwarczne i swoim nawykiem powyłazili z czołgów i zaczęli się golić, myć, opalać - otworzyli ogień z broni maszynowej, zabijając w ten sposób sporą ilość Niemców. Niektórzy Niemcy unieśli ręce i poddali się. Nie dano im jednak przeżyć. Rosjanie spędzili ich do szopy i tam wszystkich roztrzelali. W miejscu zdarzenia Niemcy potem usypali dwie mogiły. Jedną wysoką, dla tych zabitych z zasadzki na placu, a drugą płaską dla tych, którzy się poddali i zostali roztrzelani w szopie. Według Niemców nie warci byli znaczącej wzniosłej mogiły. Tymczasem bohaterowie tej sceny przeprawili się przez Bug i uszli w stronę Buska. Mogli więc to być ci, którzy nocą przejeżdżali koło mojego domu ulicą Wołoską. Ich przejazd i odgłos armat zwiększał nadzieje na rychłe przybycie Niemców. Ich mord, dokonany na jeńcach, "zaowocował", gdyż w okresie późniejszym zjawiskiem powszechnym w tej wojnie było, że Niemcy roztrzeliwali jeńców sowieckich, zaś Sowieci - jeńców niemieckich. Po obu stronach lekceważono zatem konwencję genewską.

Gdzieś około godziny 10-tej lub 11-tej przed południem na trasie Kupcze - Podzamcze /dzielnica Buska/, a więc z kierunku Kamionki Strumiłowej a nie ze strony Lwowa, jak się wcześniej spodziewano, pojawił się pierwszy czołg z czarnym krzyżem - czołg niemiecki. Sunął powoli, co chwila przystając, by oddać na miasto kilka strzałów armatnich. Łatwo można było zaobserwować, że czołg jedzie polem obok gościńca. Załoga jego obawiała się widocznie min, które mogły być zainstalowane na gościńcu. Wnet też

pojawił się drugi i trzeci czołg. Sunęły tym samym śladem co pierwszy.

Wkrótce te gąsienicowe pojazdy skryły się za drzewami i domami Podzamcza. Strzałów armatnich oddawanych przez nie było coraz mniej. Na trasie pojawiły się motocykle i samochody. Nie znając się oczywiście na sprawach związanych z operacjami wojennymi i bitewnymi i nie mając odpowiedniego wyczucia, uznałem, że miasto znalazło się już w rękach niemieckich. Postanowiłem jak najrychlej zobaczyć z bliska niemieckich żołnierzy.

Przez Krótką Stronę szybko przedostałem się w rejon szkoły. Wszędzie było bezludnie. Wiodąca ulica do rynku była pusta, za małym wyjątkiem. Obok kamienicy Duhla /Dula/, tego, który prowadził sklep z butami i skórą na buty, stał mały osobowy samochodzik z dziwnymi znakami, których wcześniej nigdy nie widziałem. Były to jakieś chorągiewki i tygrysy w kolorze pomarańczowym. Również numer rejestracyjny był inny od stosowanych przez Rosjan. Wszyskiemu temu po podejściu przypatrzyłem się z bliska. Kiedy jednak oglądałem się za siebie, spostrzegłem idących z podwórza szkolnego w moim kierunku, a po chwili z powrotem udających się na podwórze szkolne, dwóch, lekko pochylonych, z karabinami gotowymi do strzału, żołnierzy niemieckich. Na mój widok nie reagowali w ogóle. Uznałem jednak, że trwa bitwa i teren jest jeszcze niebezpieczny. Szybko zatem prześliznąłem się w dół pod budynek kina. Tutaj wcisnąłem się we wnękę drzwiową i oparłem plecy o kraty, w których wmontowany był napis : KINO - TEATR. /napis ten zachowany jest do dnia dzisiejszego/.

W pewnym momencie zobaczyłem jakby zjawę, jadący sowiecki wojskowy samochód ciężarowy z gałęziami maskującymi na burcie i siedzącymi między nimi czerwonoarmistami. Obok kierowcy, od mojej strony, w kabinie siedział oficer z wyciągniętą na zewnątrz, poza odsuniętą szybę, ręką, w której zaciśnięty miał gotowy do strzału nagan. Wrótki przechodziły po moim ciele. Stałem jednak nieruchomo wciśnięty w kraty drzwiowe kina. Napięcie rosło. Strach ustępował dopiero w momencie, gdy świadomość rejestrowała oddalający się samochód w stronę rynku. Przejechali, jakby mnie nie zauważyli, chociaż było to wykluczone.

Podobnie jak mnie minęli również stojący obok kamienicy Duhla wspomniany osobowy samochodzik z dziwnymi znakami, jakby ich nie interesował w ogóle. Niemcy, ci z podwórza szkolnego, z pewnością też przypatrywali się przejazdowi ciężarówki z czerwonoarmistami, ale nie reagowali.

Ledwie minęły dreszcze, a tu już .... Od strony Słotwiny zbliżała się sowiecka tankietka /czołg na gumowych kołach/. Podobnie, jak tamten ciężarowy samochód z czerwonoarmistami, przejechała obok kina, wymięła ten osobowy samochodzik z dziwnymi znakami i pomknęła na rynek. Okazało się potem, że to właśnie ona koło elektrowni została przez Niemców rozwalona. A było to tak, że jadącą tankietkę zauważyli odpowiednio wcześniej Niemcy. Szybko zorganizowali kontratak motocyklowy. Od Starego Miasta /poczty/ na dużej szybkości wypadło dwóch Niemców, którzy, zaskakując Rosjan, rzucili wiązkę granatów pod koła tankietki. Ta natychmiast stanęła w płomieniach. Był to zapewne odwet Niemców za rozbicie, tym razem przez Rosjan, czołgu niemieckiego, który wjechał do parku w pobliżu kaplicy Badenich.

Zanim jednak to mogłem stwierdzić, zauważyłem, jak wspomniani dwaj żołnierzy niemieccy podeszli do samochodziku z dziwnymi znakami, jeden z nich przyklęknął i zaglądnął pod podwozie, sprawdzając widocznie, czy nie ma podłożonej miny, poczym obydwa wsiedli do wewnątrz, zawrócili jakby na miejscu i obok targowicy i Słotwiny przemknęli do parku. Był to zwiad niemiecki, który zapuścił się do nie zajętego jeszcze miasta, a teraz wrócił do swoich.

Skonstatowałem wówczas, że jestem mimo wszystko w miejscu niebezpiecznym. Zdecydowałem zatem pospiesznie podejść pod most na Słotwinie i skryć się między jego filarami. Był to most drewniany, który został wzniesiony w czasie, gdy budowano obok most betonowy. Teraz obydwa mosty były czynne, ten drewniany - rezerwowym.

"szystkie mosty w Busku, a było ich łącznie pięć, podobnie jak i szosę asfaltową przez nie przebiegającą od Lwowa do Kijowa, budowali w roku 1940 Sowieci przy wykorzystaniu inżynierów i techników Polaków oraz jeńców polskich, których "w nagrodę" wywieźli do łągrów lub wymordowali w więzieniach.

Stanałem swobodnie między filarami w takim miejscu, by móc zerkać i jako tako obserwować szosę w obrębie kina. W pewnym momencie zauważyłem, jak ranny żołnierz sowiecki zza parkanu od strony parku ~~przyskoczył~~ wyskoczył, przystanął przy rzeczce, jakby się wahając i obawiając jej głębokości, potem skoczył na środek i zmoczony nieco powyżej kolan biegiem skierował się i skrył wśród drzew i krzewów sadu wspomnianego doktora Wanio, którego w sądzie roztrzelano. Na plecach tego żołnierza widniała czerwona plama średnicy około 15-tu centymetrów. Być może, że to właśnie on rozprawił się z tym niemieckim czołgiem obok kaplicy Badenich. Trudno jednak powiedzieć, czy zdołał uciec, czy dostał się do niewoli niemieckiej. Na pewno nie uciekł, gdyż zaraz potem pojawili się Niemcy.

Z góry od rynku jechał czołg ze znakami czarnego krzyża. Za nim motocykl. Za nimi znów czołg i znów motocykl. I czołgi i motocykle... i czołgi i samochody... Wylazłem spod mostu i czym prędzej skierowałem się do rynku. Tutaj stwierdziłem pełną ręką Niemców. Cały rynek zastawiony był samochodami i różnym wojskowym sprzętem. Jacyś ludzie przy pomocy żerdzi i haków ściągali ze ścian domów portrety Stalina, Lenina i innych dygnitarzy komunistycznych, którymi wcześniej udekorowane było miasto. Portrety te i różne transparenty z hasłami komunistycznymi bolszewickimi bezlitośnie niszczone. Był to wyraz głębokiej nienawiści wobec tych, którym wcześniej polecano bić pokłony. Wśród Polaków i Rusinów panowała powszechna radość. Jedynie Żydzi, jak szczury, pochowali się po piwnicach i nie wychylali głów.

Wielu mężczyzn biegło w stronę pałacu hrabiego Badeniego. Pałac ten za czasów okupacji sowieckiej, a więc od roku 1939 stał się koszarą wojskową. Biegłem z nimi. Wkrótce mijałem pałacą się tankietkę, o której już wspominałem. Była w płomieniach. Czarny gęsty dym snuł się nad zabudowaniami elektrowni. Smród palącej się gumy zmuszał do zatykania ust chusteczką. W parę minut później znalazłem się, nieświadomy celu tych odwiedzin, razem z innymi w zabudowaniach pałacu, czyli w sowieckich koszarach wojskowych. Łóżka żołnierskie były starannie zaścielone prześcieradłami i kocami. Postąpiłem, jak inni. Chwyciłem walizkę spod łóżka, wysypałem na podłogę różne przedmioty osobiste /pędzel do golenia, szczotkę do zębów, kubek na wodę.../, wsadziłem do środka dwa kraciaste koce, starannie zamknąłem walizkę i wybiegłem na zewnątrz. Każdy z tych, którzy się tam znaleźli, dzwigał teraz nawet po kilka waliz lub jakieś tam tobołki. Widziałem jak kilku mężczyzn usiłowało udźwignąć beczkę sto, a może nawet dwustolitrową, prawdopodobnie z zawartością rył. Spotkałem tam brata, Mieczysława, który też trzymał w ręce walizeczkę.

Skoczyliśmy wraz z innymi do parku usytuowanego obok pałacu. Kiedy zbliżaliśmy się do alei, schodząc ze stromej górki, zatrzymały nas bzykające przed naszymi nosami kule. Przystaliśmy i zaraz też zauważyli Niemców, którzy wołali : komm..., komm...! Podeszliśmy do nich, bez strachu, bowiem byliśmy przekonani, że oni wiedzą, iż jesteśmy przy ich boku gdy chodzi o kontynuowanie walki z okupantem sowieckim, gdy chodzi o przerwanie ucisku, terroru, jakie narzucone zostały zniewolonemu społeczeństwu tego rejonu Polski. Niemcy popatrzyli na nas, a zorientowawszy się, że jesteśmy aryjskiego pochodzenia, a także nie spodziewając się, że dokonaliśmy czynu złodziejskiego, gestem ręki pozwolili na kontynuowanie marszu.

Jak się potem okazało, tuż przed spotkaniem z nami, Niemcy w tym właśnie miejscu zastrzelili niejakiego Koziewicza z Wołoskiej. Był to znany i wysoce ceniony jegomość, który z powodzeniem swatał małżeństwa. Umiał retorycznie mówić, miał dar przekonywania i podobno zeswa-

tane przez niego małżeństwa były bardzo szczęśliwe. Słyszałem jego pieśni, w których używał słów mieszanych rusko - polskich, a nawet żydowskich. Zapewne w tych samych, co i inni, zamiarach Koziewicz wpadł do pałacu i stamtąd wychodził z jakimś może skromnym zawiniątkiem. Ponieważ miał długą brodę, Niemcy musieli uznać go za Żyda i dlatego zastrzelili.

Zdobyczą i zarazem pamiątkę po Sowietach zostawiłem w domu i niemal natychmiast biegłem na ~~spotkanie~~ ponowne spotkanie z Niemcami, których już też na naszej ulicy było dość sporo. Kiedy znowu znalazłem się na Krótkiej Stronie, na przeciw domu Tadeusza Pospiszyla, a obok zabudowań strażnika hr. Badeniego, niejakiego Herszka /Żyda/, przed moimi oczyma ukazał się dość znamienny dla tego etapu wojny obraz. Jedni Niemcy się golili i myli w Słotwinie, a obok nich inni strzelali z działa z skierowaną lufą na wschód, które stało na samym środku rzeczki.

Radość i entuzjazm czytany był z twarzy każdego Polaka i Rusina - Ukraińca. Widać było, że mieszkańcy Buska narodowości polskiej nie doświadczyli jeszcze tych tragedii, które z przyczyny Niemców dotknęły tysiące rodzin polskich na obszarze okupowanym przez nich od 1939 roku. Nie słyszeli jeszcze o wymordowaniu polskich naukowców w Krakowie, mieszkańców Bydgoszczy, o obozach koncentracyjnych i innych bestialstwach niemieckich. W ich pamięci, jak na razie, zakodowane zostały i mocno utrwalone, świeżo dokonane mordy i okrucieństwa, których autorami był NKWD. Oni dopiero co widzieli wywozy na Sybir, aresztowania, conocne zakopywania bezimiennych nagich trupów... Oni stali się również świadkami odkrytych w Busku w piwnicach kamienic, w których mieszkali enkawudziści z rodzinami, dużej ilości ciał ludzkich będących w rozkładzie. Oni odmurowywali wejścia do tych piwnic, organizowali pochówek we wspólnym grobie na cmentarzu, zaraz po prawej stronie od bramy głównej, umieszczali na płycie betonowej napis: "zamordowani przez zbirów bolszewickich w latach 1939 - 1941" /Napis ten istnieje do dzisiaj/. Oni nie mogli przypuszczać nawet, że istnieją na terenie Polski zbrodnie podobne tym, których byli świadkami, albo nawet potworniejsze. Oni nie znali terminu GESTAPO. Oni nie mogli jeszcze wiedzieć, że ci, których tak serdecznie witają, to diabły z tego samego zastępu piekielnego, z którego się wywodzili tamci w czepach z niebieską otoką i gwiazdą czerwoną. Jeszcze nie wiedzieli, że "diabła zastąpił Belzebub".

*Rzeszów, 30.04.92*

Ludomił Szubartowicz  
były mieszkaniec Buska, ul. Wołoska 97  
obecnie mieszkający w Rzeszowie,  
ul. Grodzisko 1a/5

